

Ija Lazari-Pawłowska

Strajk studentów (1981)



Prof. Ija Lazari-Pawłowska wśród studentów. Fot. archiwum

Na zewnątrz wisały dość krzykliwe hasła i apele do społeczeństwa o pomoc. Dopiero wewnątrz okupowanego budynku zaczynało się rozumieć, czym jest ten strajk, ogarniać rozmiary i powagę wydarzenia. Gdyby nie telefon studentów w nocy 2-go lutego z prośbą o obecność podczas rokowań, o samą obecność, ominęłoby mnie jedno z najważniejszych społecznych doświadczeń mojego życia.

Sytuację stron tego dialogu widziałam jako odmienną i nierówną. Studenci przy stole obrad reprezentowali siebie, swoje indywidualne przekonania, swój własny punkt widzenia. Natomiast ludzie z komisji Międzyresortowej występowali jako rzecznicy instytucji, byli więc uwikłani w różnorakie zależności i ograniczeni przez instrukcje być może dopiero na gorąco wykuwane. Nie można wykluczyć, że mieli nieraz swoje prywatne zdanie – inne niż to, jakiego czuli się zobowiązani bronić na forum oficjalnym i że nieraz chcieli dla swoich dzieci tego samego, czego domagali się studenci. Może się jednak co do tego myśle. Zbyt trudno było przeniknąć poza maski. W każdym razie po stronie studentów dominował autentyzm i przykładanie do proponowanych rozwiązań w pierwszym rzędzie kryteriów moralnych. Takie pojęcia jak rozwój osobowości, humanistyczne cele, autonomia jednostki, ogólnoludzki dorobek, tolerancja światopoglądowa, historyczna prawda – za sprawą studentów stały się na Sali obrad żywymi ideami. Po drugiej stronie dominował brak autentyzmu i sytuacyjny

pragmatyzm. Wbrew pozorom rola rzeczników władzy była w tym dialogu trudniejsza, choćby już tylko w sferze konstruowania argumentów. Ale i zadanie okazało się mniej wdzięczne. Bo przecież to, co z zakresu ludzkich uprawnień wypróbowane już zostało historycznie w skali naszego obszaru kulturowego i co kojarzone bywa z demokracją, rzadko wymaga uzasadnienia. Uzasadnienia wymaga raczej nakładanie warunków ograniczających.

„Studenci ‘81” – tak siebie określili ci młodzi ludzie. Zaprezentowali nowy styl myślenia i bycia. Działali jak gdyby z poczuciem misji dziejowej. Jeden z profesorów, zasiadający zresztą po przeciwnej stronie, powiedział, że czuło się na Sali wiew historii. Studenci przeciwstawili dawnej bezsilności i apatii swój entuzjizm działania. Demonstrowali pewność, że to, co dokuczliwe, nonsensowne czy moralnie niesłuszne, nie musi nieuchronnie towarzyszyć ich egzystencji i że od działań każdego z nich zależy może naprawa sytuacji w tak wielu dziedzinach społecznego życia. Wyrażali swoje opinie otwarcie, bez uciekania się do ochronnych aluzji. Dotykali kwestii, wokół których narosło tabuistyczne milczenie. Występowali z podziwu godną determinacją i odwagą. Wszystko to jest niesłychane dla ludzi mojego pokolenia, które uległo częściowo smutnej rezygnacji, a częściowo oportunistycznemu przystosowaniu. Zwłaszcza odwagę tych młodych ludzi należałoby podkreślić, a także świeżość ich reakcji na zjawiska, które stały się już tak bardzo częścią składową naszego społecznego krajobrazu, że sporo obywateli nie umie im się dziwić.

Wspomniałam o dialogu. Czy był to rzeczywiście dialog? Taki, przy którym obie strony naprawdę gotowe są na nowo przemyśleć sprawy pod naporem usłyszanych argumentów? Chyba niewielkie na to były szanse. Sytuacja zbliżała się bardziej do przetargu niż do dialogu. Ale i przetarg może zawierać w sobie mniej lub więcej pozytywnych elementów. Czy przesadam w maksymalizmie, jeśli pragnę, aby taka konfrontacja stanowisk odbywała się według najlepszych wzorów? Doceniam oczywiście fakt niestosowania przemocy, ale mnie chodziłoby o coś więcej, o wyłączenie także innych form agresywności w postawach i w działaniu. Z tym bywało różnie. Ponieważ większą przykrością reagowałam na potknięcia studentów niż Władzy – z racji życzliwej troski oraz w znacznej mierze solidarnej identyfikacji ze studentami, zwrócę uwagę na to, co odczuwałam w zachowaniu studentów jako niewłaściwe. Mnie się wydaje, że należało powstrzymać się od wszystkiego, co stanowi personalny atak na partnerów dialogu. A więc żadnego poniżania godności, żadnych złośliwych plakatów wymierzonych przeciwko konkretnej osobie, żadnych niegrzecznych czy nieuprzejmych wyrażań. Nie przekraczać granicy między dowcipem a szyderstwem. Argument w rodzaju: „A jak postępowała tamta strona? Czy była lepsza?” jest nie do przyjęcia. Uzdrowić sytuację możemy tylko przez to, że będziemy lepsi. Przepraszam studentów, jeśli ich dotknęłam tą

moralizatorską uwagą. Może zbyt wiele oczekuję. Wiem jednak, że sama nie mogłabym brać udziału w akcji, w której określone zasady nie byłyby przestrzegane.

Obok zgrzytów były też sympatyczne chwile ludzkiego czy partnerskiego zbliżenia. Ja bym na takie iskielki chciała chuchać, a one gasły prawie niezauważane. W mojej relacji przykłady okażą się mało efektowne, ale powinnam wspomnieć choć o jednym. Otóż w niedzielę rano, o godzinie piątej, w dwudziestym piątym dniu strajku (było to 15. Lutego), gdy po całonocnych wielce dramatycznych pertraktacjach osiągnięto już – jak się wówczas zdawało – kompromis do przyjęcia dla obu stron, Minister – blady, wyczerpany, wyraźnie u kresu sił – uśmiechnął się do studentów i pogratulował im sukcesu. To wypadło bardzo sympatycznie. I mogło być już do końca sympatycznie, ale niestety nie było. Dziesięć godzin później miało odbyć się podpisanie porozumienia. Dlaczego wypadki potoczyły się inaczej, nie jest dla mnie jasne. Muszę podkreślić, że nie znam okoliczności. Jakikolwiek jednak racje były po stronie studentów, źle się stało, moim zdaniem, że nie pojawili się na sali obrad punktualnie o umówionej godzinie, zwłaszcza, że występowali jako gospodarze i że nie wyrazili swego ubolewania z powodu konieczności chwilowego odroczenia uroczystego finału. Wypominam uchybienia może drobne wobec gigantycznej sprawy zasadniczej. Mam jednak wrażenie, że zaciążyły one na atmosferze końcowego aktu, jakim było podpisanie porozumienia w dniu 18. lutego. Poprzedniego dnia zarejestrowane zostało wreszcie Niezależne Zrzeszenie Studentów. Ogłoszenie tego faktu wzbudziło entuzjazm wśród obecnych w auli studenckich tłumów. Podobno ten fakt właśnie studenci odczuli jako najdonioślejsze swoje osiągnięcie. Pozytywów do odnotowania mają jednak wiele, i to nie tylko w poszczególnych punktach porozumienia. Zdobyli wiedzę o naszej współczesności, jakiej nie zapewniłyby im żadne lekcje obywatelskiego wychowania. Wyrobili w sobie zdolności organizacyjne. Są dziś społecznie bardziej dojrzałi. I może nade wszystko łączy ich ten piękny rodzaj więzi, jaki w życiu naszych studentów już groził obumarciem.

Negocjacje trwały bardzo długo, więc i strajk trwał bardzo długo, na co wpłynęło wiele czynników. Przy innym nastawieniu Komisji Międzyresortowej okres pertraktacji mógłby być krótszy. Wydawało się jednak często, że Komisja nie jest skłonna bez walki spełnić niemal żadnego postulatu wykraczającego poza sprawy i tak już uwzględnione w projekcie ustawy o szkolnictwie wyższym. Były także inne przyczyny przedłużania się negocjacji, a wśród nich obawa studentów przed uzyskaniem tylko pozornego porozumienia, przed zagubieniem istoty rzeczy w zwodniczej stylizacji. Stąd ich czujne penetrowanie każdej formuły, dążenie do tego, aby obwarować się możliwie absolutnymi gwarancjami. Jakie jednak istnieją mocniejsze gwarancje instytucjonalna demokratyzacja, a potem dobra wola, rzetelny wysiłek i mądra

praktyka na co dzień? Nie sądzę oczywiście, aby bez znaczenia była litera sformułowań; nieraz w niej można znaleźć oparcie. Tak więc chodziło studentom często o słowa, i bywały to słowa o zasadniczej doniosłości. Dam przykład. Studenci postulowali, aby bez przeszkód można było przywozić z zagranicy emigracyjne dzieła kultury i nauki polskiej. Minister poparł ten postulat, uzupełnił go jednak poprawką, że będą to dzieła wybitne. W obawie przed arbitralnością w kwalifikowaniu dzieł studenci sprzeciwili się poprawce. Po długich debatach sprawa trafiła do protokołu rozbieżności. Nie odzywałam się podczas obrad, byłam tylko obserwatorem, ale chętnie bym wówczas zapytała: Dlaczego właściwie nie miałby sobie człowiek wedle własnego uznania przywieźć publikacji nawet zdecydowanie niewybitnych? Naprawdę nie wiem, dlaczego. I wymarzyłam sobie taką oto sytuację: Ktoś z Komisji Międzyresortowej oznajmia, że studenci niepotrzebnie zawężili swój postulat do osobistego przewozu, bo przecież w wielu wypadkach prościej będzie pocztą otrzymywać wspomniane publikacje oraz wszelkie inne, wybitne i niewybitne na równi – poczta będzie je doręczać bez selekcji. Utopia? Nie. Taka inicjatywa w optymalnym wyjściu naprzeciw społecznym życzeniom, postulatом, żądaniom, reprezentowanym zwłaszcza przez środowiska naukowe i twórcze, nie musi być utopią,

Podczas tamtej nocy o szczytowym napięciu, z soboty na niedzielę, członek ekipy rządowej odpowiedział studentce, która na korytarzu zarzuciła Komisji trzymanie się przeżytych form rządzenia: „My się też dopiero uczymy”. Brzmiało to szczerze. Po obu stronach ludzie mają teraz okazję zdobywać nowe, cenne doświadczenia. Może więc czekają nas dobre czasy.

W chwilach optymizmu człowiek liczy na tyle wspaniałych rzeczy. Również na to, że otwarte wyrażanie opinii przestanie wiązać się z osobistym ryzykiem. I że obrona słusznej sprawy nie będzie wymagała szczególnej odwagi. Tego sobie, studentom i ich przyszłym dzieciom życzę. Osobom z Komisji Międzyresortowej i ich dzieciom też. A może my już jesteśmy na tym etapie?